

Krystyna Janda

STOJĘ MOCNO NA ZIEMI

Zagrała już Marię Callas, Marlenę Dietrich, Helenę Modrzejewską. Teraz przygotowuje się do roli Marii Skłodowskiej-Curie. Jej kreacje są doskonałe, bo swoim postaciom oddaje umysł, serce i ciało. Czy ktoś ją tego nauczył?

O swoich niezwykłych aktorskich początkach Krystyna Janda opowiedziała podczas czwartego spotkania Klubu Filmowego Gali.

rozmawia ANDRZEJ SOŁTYSIK





R

Rocznie 300 spektakli i, aż boję się powiedzieć... od 30 lat. 300 razy 30. Ile to jest? (śmiej)

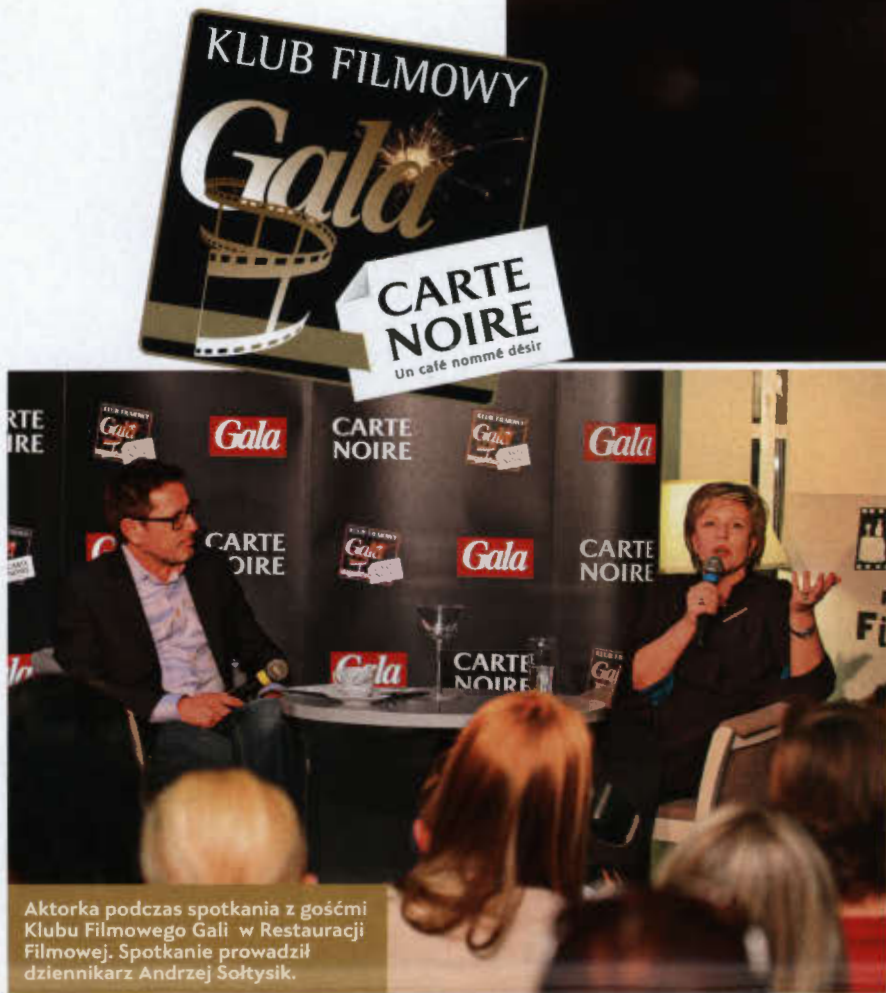
„Shirley Valentine” gram od 20 lat i nie mogę przestać. Gram to i w Warszawie, i w całej Polsce, właściwie większość pytań o mój występ dotyczy tego tytułu. Któregoś razu siedziałam na scenie w operze poznańskiej i po raz tysięczny obierałam ziemniaki jako Shirley, spojrziałam na te tłumy ludzi siedzących do ostatniego balkonu, na złocenia, drapowania, kurtynę wagnerowską, zdałam sobie sprawę z majestatu miejsca i nagle dostałam ataku śmiechu na tej scenie. Bo co to znaczy? Siedzi baba na scenie w operze, obiera ziemniaki i gada, może bliskie ludziom rzeczy i w sposób otwierający im oczy na ich własne problemy, ale jednak... Mało tego – jeżeli komuś wydaje się, że nauczyłam się już obierać te cholerne ziemniaki, to mocno się myli! (śmiej).

A jak do tych ziemniaków doszło? Czy Andrzej Wajda jest taką osobą, takim nazwiskiem, człowiekiem, reżyserem, taką postacią, która zdecydowała o Pani aktorskiej drodze?

Do dziś figuruję w encyklopediach filmowych jako aktorka-fetysz Andrzeja Wajdy (śmiej). I choć trochę mnie to bawi, istotnie – wszystko, co zrobiłam u Andrzeja, dla Andrzeja, pod Jego kierunkiem, jest moją wizytówką.

Czy uprawniona jest więc teza, że gdyby nie rola Agnieszki w „Człowieku z marmuru” w 1976 roku Krystyna Janda byłaby zupełnie inną osobą?

Moje szczęście polegało na tym, że spotkałam Andrzeja Wajdę na początku drogi, tuż po szkole teatralnej. Gdy wszłam na Jego plan filmowy i zobaczyłam, jak niestereotypowo można myśleć



Aktorka podczas spotkania z gośćmi Klubu Filmowego Gali w Restauracji Filmowej. Spotkanie prowadził dziennikarz Andrzej Sołtysik.



i pracować, jaki On sam jest gotowy na wszelkie ryzyko i jak otwarty, otworzyły się i moje oczy, serce, perspektywa na wiele rzeczy, których nawet wcześniej nie podejrzewałam. Te cztery miesiące na planie „Człowieka z marmuru” były dla mnie prawdziwym uniwersytem i zawodu, i życia, i kreatywności. To tam zrozumiałam, że to w ogóle ma sens, bo jest takie gorące i ważne.

Jakby tu przestać teraz rozmawiać o Wajdzie? (śmiej). Chciałbym wrócić na moment do życia sprzed

„Człowieka z marmuru”. Jak to się stało, że dziewczyna ze Starachowic postanowiła pojechać do szkoły aktorskiej?

Do siódmego roku życia w Starachowicach wychowywali mnie dziadkowie, bo rodzice wyjechali budować socjalizm w Zakładach Mechanicznych Ursus. Ojciec był inżynierem zbrojeniowcem. To on zdecydował, że pójdę do szkoły w Warszawie. Całe moje dzieciństwo odbyło się pod hasłem: „Traktor ma się zamienić w czołg w 20 minut”. Rodzice



„
Zapaszewicz
mówił o mnie:
Z niej to będzie
geniusz albo
kompletne zero
“

robili wszystko, żeby nie trzeba było się mną zajmować. W związku z tym uczyłam się hiszpańskiego, francuskiego, grałam na fortepianie, byłam w studium baletowym w Operetce Warszawskiej. Ale... niczego nie nauczyłam się naprawdę. Poszłam więc do liceum plastycznego, myśląc, że może zostanę plastykiem. Do szkoły teatralnej trafiłam przypadkiem i zobaczyłam, że to miejsce, gdzie nie trzeba umieć naprawdę, trzeba mieć potrzebę kreatywności, wyobraźnię, odwagę, mieć serce i być Człowiekiem. To wszystko miałam, a reszta tego wszystkiego, co wcześniej po trochu posiadałam, mogła mi się przydać.

A studentka Krystyna Janda była niepokorna, walcząca czy pilnie czytała klasyków?

Szukałam wtedy swojego miejsca w życiu, jak wszyscy w moim wieku. Ludzie, którzy wchodzą w ten zawód i mają jeszcze do tego taki jak ja wtedy entuzjazm i wiarę, mają też przewagę „nuworyszostwa”. Joasia Szczepkowska, która była

ze mną na roku, różniła się ode mnie tym, że wiedziała wszystko o teatrze, bo pochodziła ze wspaniałego artystycznego domu z tradycjami, więc przekraczanie pewnych zasad obowiązujących w zawodzie aktora było dla niej wielkim wydarzeniem. Ja nie wiedziałam o istnieniu zasad nic, więc łamanie ich było dla mnie jak splunięcie. Weszłam do tego, jak mi się wtedy wydawało, skostniałego świata teatru ze świata wolnej i swobodnej plastyki, czasem nie mogąc zrozumieć, dlaczego ja w tym skodyfikowanym świecie sceny nie mogę się zmieścić. Moją ulubioną profesorką była Janina Romanówna, szczyt kobiecości, genialna aktorka, szalenie realistyczna, tradycyjna. I ja, dziewczyna w spodniach, ostrzyżona niemal na zero, a to, co na głowie zostało, było ufarbowane na czerwono. To było spotkanie! Podniecające, ekscytujące ale i bardzo pouczające. Nienawidziła mnie jak psa i mówiła: „Umaluj się, bo wyglądasz, jakbyś przed chwilą rzygała. Kto

będzie się z Tobą chciał całować?”. Walka na każdych zajęciach, zapasy prawdziwe, trwały. Ale byli też tacy jak profesorowie Bardini czy Kaliszewski, Kreczmar, którzy od razu zrozumieli, że ze mną jest coś nie tak, że chyba muszę mieć indywidualny tok studiów. Bardini mówił: „Pani jest nienormalna”. A Zapaszewicz dodawał: „Z niej to będzie geniusz albo kompletne zero, jakieś dno”. Ja po prostu byłam wtedy naprawdę kimś kompletnie innym niż otoczenie i nie było w tym żadnej mojej zasługi, ja po prostu taka byłam, w ogóle się nad sobą nie zastanawiając. A potem okazałam się reżyserom potrzebna do opowiadania skomplikowanych historii o szarych zwykłych ludziach. Byłam twarzą kina moralnego niepokoju. I żoną Andrzeja Seweryna, który wtedy należał do opozycji. W tym czasie nakręciliśmy „Człowieka z marmuru”, „Człowieka z żelaza” potem „Przesłuchanie”.

Powołanie swojego teatru, poświęcenie własnych funduszy – to było ▶



1976



1982

Od góry: Z Jerzym Radziwiłowiczem w „Człowieku z marmuru”, na dole w filmie „Tatarak”, po prawej (od góry) jako Tonia w „Przesłuchaniu”, z Johnem Gielgudem (odtwórcą głównej roli w filmie „Dyrygent”) i Andrzejem Wajdą, z Anną Polony w filmie „Rewers”.



1979

”
Moje szczęście polegało na tym, że spotkałam Andrzeja Wajdę na początku drogi
 “



2009



2009

co? Spełnienie marzenia czy udowodnienie światu, że dam radę?

To była po prostu chwila słabości. Nie wiem, jak to nazwać. Przecież ja jestem rozsądną kobietą. Stojącą mocno na ziemi...(śmiech)

Tak by się wydawało...(śmiech)

Bardzo lubię grać... Odeszłam z Teatru Powszechnego nagle, a byłam w szczytowej formie, nie przestawałam grać, orali mną jak brona... Dyrektor powiedział mi jeszcze na pożegnanie: „Masz trzy miesiące wypowiedzenia, będziesz grała codziennie”. Dochodziło już do ostatniego spektaklu „Callas”. Pękało mi serce. Żegnali się ze mną koledzy, widzowie. Płakaliśmy. No i... koniec! I tak leżę sobie potem w łóżku i myślę: „Jestem w pełni sił, umiem zagrać, co wymyślę, alfabet porozumiewania się z publicznością opanowany, jak chcę żeby płakali, to płaczą. I co ja teraz będę robić? Kupię sobie dom w Toskanii i tam będę dalej leżała

w łóżku?” O pomoc poprosiłam Jurka, przyjaciela emeryta: „Masz czas, przejedź się po Warszawie i zobacz, czy nie ma gdzieś malutkiej sali, w której mogłabym sobie coś pograć co jakiś czas i się uspokoić”. W ogóle nie chciałam kupować teatru, ale okazało się, że muszę od razu kupić kino, bo nie ma innej sali ani innego sposobu. Stworzyliśmy z mężem i córką Fundację na rzecz Kultury... no i tyle...

No tak, trzeba się borykać z tymi wszystkimi rachunkami, a teatry są już dwa: Polonia i Och.

Druga sala miała być ratunkiem. Sposobem na niezależność od państwowych i innych zresztą dotacji. To wynikało z kalkulacji biznesowej. Mieliliśmy zbyt duży repertuar, za mało miejsc do sprzedania, rentowność sali liczy się liczbą miejsc na widowni. Więc w Polsce ludzie stali na spektaklach, a my graliśmy trzy razy dziennie jak w kinie. Postanowiłam więc rozładować nadmiar.

Maria Seweryn, Pani córka i dyrektorka Och-teatru, powiedziała mi, że się bała, bo: „Mama do wszystkiego się czepiała”.

Wrzuciłam ją do tego teatru i powiedziałam: „To twój teatr, remontuj go! Ja będę tu grała i potem powiem ci, co dalej”. No i ona, matka małych córeczek, aktorka mocno zajęta w zawodzie powiedziała: „No, spróbuję”. Ale... ja jestem strasznie niecierpliwa, więc rezultatów żądałam od niej szybko, wiedząc, że muszę ją w nowej roli wychować. Ona odpowiada za to miejsce, ja podejmuję decyzje artystyczne, tylko te generalne. I ona mówi, że mama miała ciągle pretensje?... No, musiałam, musiałam. Zresztą, czepiam się do dziś. Myślę, że dla jej i naszego wspólnego „polonio-ochowego” świata, który stworzyliśmy.

— rozmawiał Andrzej Soltysik

